

MONIKA RUTKA



dlug
JOSEPHINE

W KAJDANACH LOJALNOŚCI

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Anna Skóra

Korekta: Anna Smutkiewicz

Projekt okładki: Justyna Knapik

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą iStock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: beya.pl

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

beya.pl/user/opinie/ciege3

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2978-4

Copyright © Monika Rutka 2026

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

PROLOG

Edynburg, rok 2002

Josephine

Z szybko bijącym sercem podnoszę się do siadu, kiedy po domu roznosi się jakiś łomot. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Dopiero po paru sekundach dociera do mnie, że w swoim pokoju. Przeżona omiatam go wzrokiem, ale jest zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć.

Wzdrygam się, gdy znów słyszę huk.

Odrzucam kołdrę i na drżących nogach podchodzę do drzwi. Uchylam je lekko. Skrzypią, kiedy to robię. Wysuwam głowę, rozglądam się po korytarzu, ale znów – nic nie widzę.

– Pomocy... – Z dołu dociera do mnie ochryply znajomy głos.

Czuję ścisk w gardle. Chcę zawołać Archiego, ale nie potrafię. Nie umiem się odezwać.

Przeżykam strach i na palcach ruszam w kierunku schodów. Za dnia wydają się krótsze, mniej przerażające. Teraz nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wiszące na ścianie obrazy się na mnie patrzą. Że ktoś za mną idzie.

– Mamo? – szepczę, kiedy jestem już prawie na dole.

Odpowiada mi coś między śmiechem a płaczem. To brzydki dźwięk, który sprawia, że robi mi się niedobrze.

Wychylam się z klatki schodowej, ale nikogo nie dostrzegam. Schodzę więc na dół i zaglądam do salonu. Też nikogo nie ma.

Idę do łazienki. Pusto. Gdy przekraczam próg kuchni – zatrzymuję się w pół kroku.

Leży tam. Na podłodze. Jedną rękę ma dziwnie podwiniętą, a twarz przyciśniętą do płytek. Obok niej jest przewrócone krzesło i rozbita butelka.

– Pomóż... – bełkocze. – Nie mogę... Nie mogę wstać...

Chcę podejść, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Boję się.

– Mamo?

Wzdrygam się, gdy nagle zza moich pleców wychodzi Archie. Nie słyszałam go.

Mój brat podchodzi do mamy i pomaga jej wstać. Widzę, że ledwie sobie z nią radzi, ale ja nie umiem się ruszyć. Moje nogi przykleiły się do zimnych płytek.

– No dalej, mamo... Pomóż mi.

Mama mamrocze do Archiego coś niezrozumiałego.

Cofam się o krok, kiedy wreszcie udaje mu się ją podnieść.

– Zaprowadzę ją do pokoju, a ty tu posprzątaj – mówi brat. – Spokojnie, Josie. Jestem tu.

Kiedy Archie wychodzi, słyszę, jak prosi mamę, żeby spróbowała iść o własnych siłach.

A ja stoję.

Stoję i patrzę na podłogę.

Zostały na niej mokra plama, szkło i przewrócone krzesło.

W brzuchu znów mam to dziwne uczucie, jakby coś było nie tak. Jakby coś się we mnie zepsuło i nie dało się tego naprawić.

I nagle dociera do mnie, że to już nigdy się nie skończy.

Że takie noce będą się ciągle powtarzać.

I nikt nas nie uratuje.



Edynburg, rok 2017



ROZDZIAŁ 1



Niespodziewana wizyta

Josephine

Na Pilton Avenue mijam kilka budynków mieszkalnych, po czym skręcam w wąską ścieżkę prowadzącą do bloku. Gdy przechodzę obok koszy na śmieci, muszę wstrzymać oddech – wydobywający się z nich odór jest nie do zniesienia.

Wyjmuję z kieszeni pęk kluczy z doczepionym brelokiem – serbską flagą – i wchodzę na klatkę schodową. Pieką mnie ręce od wbijających się w skórę uchwytów ciężkich siatek, z którymi przeszedłem już co najmniej milę, ale próbuję to ignorować.

W połowie drogi na drugie piętro do moich uszu dociera dźwięk zamków odbezpieczanych w jednym z mieszkań, zaraz potem słyszę szybkie kroki. Przewracam ostentacyjnie oczami na widok starszego mężczyzny ubranego w koszulkę polo.

– Aż tak się za mną stęskniłeś, że wybiegasz mi na przywitanie? – drwię, gdy ten gromi mnie wzrokiem.

– Zwariuję z tobą – mamrocze pod nosem, zabiera mi torby i wraca na górę.

– Ciebie też miło widzieć, Miroslav.

– *Nemoj da me nerviraš**.

Ruszam za nim.

* *Nemoj...* (serb.) – Nie denerwuj mnie.

– Czasem strasznie dramatyzujesz – stwierdzam, zdejmując buty w korytarzu.

Przesuwam je stopą pod ścianę, po czym dołączam do Mirosława w kuchni. Mężczyzna wpatruje się w zakupy tak, jakbym wcale nie zrobiła mu zapasów na najbliższy tydzień, tylko przyniosła jakieś niepotrzebne graty.

Opieram się o meble i zaplatam ręce na piersiach.

– Wystarczy: dziękuję, Josephine.

Mirosław patrzy na mnie z rezygnacją.

– Nie musiałaś, *dušice**.

– Ale chciałam. – Wzruszam ramionami. – Poza tym i tak zamierzałam cię odwiedzić, bo dawno się nie widzieliśmy. Zakupy zrobiłam po drodze.

Mężczyzna przygląda mi się chwilę, z każdą kolejną sekundą mięśnie jego twarzy coraz bardziej się rozluźniają.

– Kawa? – Uśmiecham się do niego.

– Chyba cię wyczułem. – Wskazuje brodą gazówkę, gdzie stoi parująca dżezwa. – Dopiero co zaparzyłem.

Podczas gdy Mirosław rozpakowuje torby, ja wyjmuję z szafki dwie filiżanki z pasującymi do nich podstawkami, wypełniam je gorącym napojem i stawiam na przykrytym ceratą stole. Kiedy zajmuję swoje ulubione krzesło, mężczyzna chowa ostatnie produkty do lodówki. Cały ten czas nuci pod nosem jakąś piosenkę, inną niż ta, która leci właśnie w radiu.

– Jak ci minął tydzień? – zagaduje, przekładając jajka z pudełka do plastikowego pojemnika. – Był lepszy od poprzedniego?

Upijam łyk napoju i mimowolnie przymykam powieki, kiedy czuję na języku gorzką kawę. Nigdzie nie smakuje mi tak dobrze jak tu.

– Powiedzmy – odpowiadam w końcu. – Obyło się bez rękoczynów, więc uznajmy, że był dobry.

* *dušice* (serb.) – duszyczko.

Miroslav śmieje się cicho.

– Chłopaki dają w kość?

– Trochę. – Stukam palcami w blat. – Z nimi każdy dzień jest pełen wrażeń. Dasz wiarę, że wczoraj Charlie suszył spodnie w piekarniku? Spodnie. W piekarniku. Chociaż ze wszystkich rzeczy, które zrobił w ostatnim czasie, ta akurat jest najmniej dziwaczna.

– Jeśli chcesz, mogę z nim pogadać.

– O nie. Sama muszę znaleźć sposób, żeby nad nimi zapanować. Może powinnam zacząć stosować kary? – Poprawiam się na krześle i zaczesuję za ucho pukiel, który wy dostał się z koka. – Nie wiem.

Mężczyzna zamyka lodówkę i siada naprzeciwko mnie. Przerzedzone siwe włosy ma zaczesane do tyłu, brodę przyciętą, a spodnie wyprasowane, więc zapewne niedawno wrócił z kościoła.

– Szacunek nie bierze się ze strachu, on musi płynąć z serca, Josie. – Kładzie dłoń na piersi. – O ile znam Aarona i Charliego, jeśli wprowadzisz rygor, prędzej się zbuntują, niż podporządkują.

– Więc co, twoim zdaniem, powinnam zrobić?

– Przede wszystkim bądź konsekwentna. Wiem, że tego ci brakuje. Jeśli mówisz, że coś zrobisz, zrób to. Nie walcz o kontrolę, walcz o autorytet. Moja babka mawiała, że ten, kogo wszyscy słuchają, nie krzyczy. On po prostu wie, kim jest. – Siorbie kawę. – Zaczynij może od wbicia sobie do głowy, że jesteś najważniejszą osobą w domu. Zawsze nią byłaś, ale z jakiegoś powodu nigdy tego nie widziałaś.

Rysuję paznokciem kółka na ceracie.

– Może masz rację.

Odkąd Archiego skazano, wszystko zaczęło się sypać, a zapanowanie nad moimi młodszymi braćmi stało się nie lada wyzwaniem. Od zawsze kochali kłopoty, ale ostatnio weszło to na zupełnie inny poziom. Mimo że od lat to ja ich wychowywałam, tylko

mój starszy brat potrafił ich poskromić. Bali się go. Wiedzieli, że z Archiem nie ma przelewki. Ja zawsze robiłam za dobrego glinę. Staram się teraz zmienić pozycję, ale to niełatwe, szczególnie że wiem, jak im jest ciężko.

– *Snaga nije u pesnici, već u mirnom pogledu.*

Unoszę brew.

– Co to znaczy?

– Siła nie jest w pięści, lecz w spokojnym spojrzeniu – tłumaczy. – Nie daj im się sprowokować. To młode chłopaki z buzującymi hormonami. Muszą się wyszumieć.

– Nie bronię im zabawy. Nie chcę tylko, żeby skończyli jak Archie.

Miroslav nakrywa moją zimną dłoń swoją ciepłą. Odwzajemniam uśmiech, który mi posyła.

Mimo że moi rodzice okazali się beznadziejni, wciąż uważam, że mam szczęście do ludzi. Od zawsze otaczały mnie serdeczne osoby, z sercem na dłoni. Miroslav Bogdanović jest jedną z nich. Przez wiele lat był naszym sąsiadem, chociaż to chyba niezbyt trafne określenie, bo ten człowiek traktował nas jak własne dzieci.

Gdy matka kłóciła się z ojcem tak bardzo, że po domu latały najróżniejsze przedmioty, Miroslav i jego żona Helena zapraszali nas na herbatę, karmili, a później przekonywali, by u nich przemocować. Mówili, że akurat zamierzali sobie zrobić wieczór filmowy i nie możemy go przegapić. My z Archiem zawsze jednak widzieliśmy, jak Miroslav wymyka się tylnym wyjściem, by wybać sytuację po drugiej stronie ulicy. Czasem te awantury bywały naprawdę paskudne. Gdyby nie on, rodzice prawdopodobnie już dawno by się pozabijali. Kiedyś ta wizja mnie przerażała, teraz żałuję, że nie jestem sierotą.

– Wiem, *dušice*. Wiem. – Miroslav ściska pokrzepiająco moją dłoń, po czym chwyta ucho filizanki. – A jak się trzyma nasz Romeo?

– Damien?

– Nie inaczej.

Biorę łyk kawy.

– Chyba średnio. W kilka miesięcy stracił narzeczoną, a później dziewczynę, która wyglądała jak jego narzeczona. To... takie dziwne, nie?

Zdjęcie Damiena u boku Genevieve Herrery – znanej w Edynburgu jako Grace Carrington – które ukazało się w prasie, wywołało niemałe zamieszanie. Początkowo sama z ciekawości sięgałam po gazety, ale kiedy przeczytałam któryś z kolei artykuł, w którym spekulowano, czy dziewczyna była wykorzystywana seksualnie przez jakiegoś reżysera baletowego, zrezygnowałam z ich kupowania.

Nie ukrywam jednak, że Grace Carrington mnie intryguje. Aaron wiele mi o niej opowiadał w ciągu ostatnich dwóch lat. Przez chwilę nawet myślałam, że się w niej zadurzył.

– Trochę – odpowiada Mirosław. – Z drugiej strony Damien od dziecka był tajemniczy i dość specyficzny. Nigdy w pełni go nie rozgryzłem, a przecież spędzałem z tym chłopakiem niemniej czasu niż z wami. – Mirosław zwiększa głośność w radiu. – Ach, miłość. Tylko ona potrafi wznieść człowieka na wyżyny i ściągnąć na samo dno. Zbudować i zniszczyć. – Zaczyna się kołysać w rytm piosenki. – Uważaj, Josephine.

– Ja?

– Damien jest sam, ty też. Nigdy nie wiadomo, czy uczucie między wami się nie odrodzi.

Po moim wnętrzu rozlewa się dziwne ciepło.

– Masz na myśli przyjaźń?

Mirosław w odpowiedzi puszcza do mnie oko.

– *Aj, pa pukni, zoro, staru majku probudi, pa da vidi, ko joj dolazi. Aj, pa pukni, zoro, svoju dragu da ljubim bele grudi da*

*joj zagrlim** – śpiewa lecącą z radia piosenkę, którą już kojarzę, i uśmiecha się do mnie szeroko.

Miroslav pochodzi z Serbii. W latach siedemdziesiątych przyjechał do Wielkiej Brytanii za pracą. Planowany rok zamienił się w ponad pięć dekad, a powodem takiego obrotu spraw była Helena, dla której mężczyzna kompletnie stracił głowę. Miroslav wciąż powtarza, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Poznali się w pociągu, siedzieli naprzeciwko siebie. Helena początkowo zbywała jego zaloty, Miroslav natomiast oszalał na jej punkcie. Tydzień po ich spotkaniu pojechał z kwiatami do miejscowości, w której wysiadła. Nie miał pewności, czy kobieta tam mieszka, ale postanowił zaryzykować. Pukał od drzwi do drzwi, aż w końcu ją odnalazł.

Spędzili razem prawie czterdzieści lat. Miroslav nie wrócił do Serbii, ale nigdy nie zapomniał, skąd pochodzi. Z dumą opowiada o swoich korzeniach, o historii swego kraju i panujących w nim zwyczajach. Choć tęsknota za ojczyzną często go dopada, powtarza, że nigdy nie żałował swojej decyzji, bo Helena była warta każdego poświęcenia. Od jej śmierci minęło prawie piętnaście lat, a on nadal mieszka w Edynburgu, by móc odwiedzać grób żony.

Ich historia jest dla mnie dowodem na to, że prawdziwa miłość i całkowite oddanie jednej osobie istnieją. Tylko dlatego moja wiara w to uczucie jeszcze nie umarła.

– Mam się ciebie spodziewać w przyszłym tygodniu? – pyta Miroslav, gdy niespełna godzinę później odprowadza mnie do drzwi.

Wkładam buty i narzucam kurtkę na ramiona.

– Postaram się wpaść, ale niczego nie obiecuję.

– Dbaj o siebie, *dušice*.

Zostawiam krótki pocałunek na jego policzku. W tym samym momencie czuję, jak mężczyzna wsuwa mi coś do kieszeni.

* *Magnifico, Pukni zoro.*

– Miroslav...

– Nie, Josie – mówi z powagą. – Nie będziesz płaciła za moje zakupy. – Ucisza mnie ręką, zanim cokolwiek powiem. – Jeśli znów zobaczę, że gdzieś tu zostawiłaś pieniądze, nigdy więcej nie wpuszczę cię do tego domu.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Chcesz się przekonać?

Zastygam z palcami na banknotach.

Wiem, że Miroslav nie rzuca słów na wiatr. Jest bardzo konsekwentny. Nawet jeśli na kimś mu zależy, ale ta osoba zajdzie mu mocno za skórę albo go zawiedzie, mimo bólu potrafi się odciąć i nigdy więcej do niej nie odezwać. Zdecydowanie nie zamierzam doświadczać tego na własnej skórze.

– Musisz w końcu zrozumieć, że nie jesteś nikomu nic winna ani za nikogo odpowiedzialna. Poza Charliem, bo on nie jest jeszcze pełnoletni. Zacznij w końcu myśleć o sobie, Josie, bo życie przeleci ci między palcami.

W moim gardle rośnie potężna gęsia skórka. Zaciskam wargi do czasu, aż poczuję, że mój głos nie zawiedzie, gdy zacznę mówić.

– Jeśli już, to najprawdopodobniej wpadnę pod koniec tygodnia.

Mężczyzna przygląda mi się chwilę w milczeniu, a potem wzdycha cicho.

– W porządku. Trzymaj się, Josie.

Odpowiadam mu skinieniem, po czym wychodzę z mieszkania, zbiegam na dół i szybkim krokiem przemierzam Pilton Avenue.

Emocje, które w ciągu kilku sekund osiadły w moim wnętrzu, spycham na bok. Całą uwagę poświęcam otoczeniu, jednocześnie rozplątuję kabelek słuchawek mojej starej MP4. Jest niedziela, więc na ulicach niewiele się dzieje. Ciemne chmury od rana wiszą na niebie i nie zapowiada się, by do zmroku miały je opuścić.

Przechodzę przez park, wsłuchując się w głos Stevie Nicks. Zanim dotrę do domu, wstępuję jeszcze do Morrisons.

Jest tylko jedna rzecz, której nienawidzę bardziej od udawania, że rozumiem politykę, mianowicie zakupy. Nie ma dla mnie nic gorszego niż chodzenie między regałami, szukanie produktów zapisanych w głowie, bo przecież o stworzeniu prawdziwej listy zawsze zapominam, a po powrocie do domu uzmysławianie sobie, że nie kupiłam czegoś ważnego.

Jak teraz.

Kopię nogą furtkę, podchodzę do drzwi, naciskam łokciem klamkę i wchodzę do środka. Moje nozdrza natychmiast atakuje znajomy już zapach wilgoci, której próbuję się pozbyć, odkąd się tu przeprowadziliśmy, ale to nie na tym skupiam się w pierwszej kolejności.

– Nie wierzę – mamrocę pod nosem. – Aaron! Charlie! – wydieram się tak głośno, że czuję ból w krtani.

Odpowiada mi głucha cisza.

Odkładam siatki na blat, omiatam spojrzeniem kuchnię połączoną z salonem, a raczej pomieszczenia, które tylko je przypominają, i ruszam na piętro. Przeskakuję po dwa stopnie, tupiąc przy tym głośno. Chcę, żeby chłopcy mieli świadomość, jak bardzo jestem wściekła.

Drzwi na końcu korytarza są uchylone. To właśnie tam się kieruję. Mijam przeszkody w postaci deskorolki, kasku i innych rzeczy, których nie powinno tu być. Pcham skrzydło i prawie wychodzę z siebie, gdy widzę leżącego na łóżku Aarona. W uszach ma słuchawki, jego oczy są zamknięte, ale nie śpi. Rusza rytmicznie stopami i bębni palcami w brzuch.

Nie zastanawiając się ani chwili, otwieram okno i zgarniam kilka leżących na podłodze ubrań.

– Powaliło cię?! – wrzeszczy.

Kątem oka widzę, że wstał.

Wyrzucam przypadkowe bluzy i koszulki do ogródka.

– Ostrzegalam, co cię czeka, jeśli nie posprzątasz tego syfu. – Schylam się po dzinsy.

Aaron mi je wrywa, zanim też wylądują przy koszach na śmieci. Na jego bladej twarzy widzę złość wymieszaną z poczuciem winy.

– Charlie miał się tym zająć. – Zwija spodnie w kulkę i rzuca je na materac. – Dałem mu piąta.

– Nie obchodzi mnie, jaki zawarliście układ. Miało być czy-sto, zanim wrócę, ale znowu spędzę całe popołudnie na sprząta-niu tego chlewu. Nie mieszkam tu sama. Cholera, tak na dobrą sprawę ostatnio nawet niewiele tu przebywam.

Ramiona Aarona opadają.

– Przepraszam. – Skrucha wybrzmiewa w jego głosie. – Za-raz to wszystko ogarniemy.

Wzdycham przeciągle.

– Idź po Charliego i bierzmy się do pracy.

Aaron wychodzi z pokoju. Rozglądam się po niewielkim po-mieszczeniu pełnym farb, przyborów do malowania oraz sprzętu do ćwiczeń, po czym podchodzę do okna, żeby je zamknąć. Zamie-ram na widok samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

A raczej stojącego obok niego mężczyzny.

Czy to jest jakiś dzień nękania Josephine?

Pospiesznie schodzę na parter. Zgarniam stojący przy drzwiach kij bejsbolowy i wybiegam na zewnątrz. Wzdrygam się lekko, gdy owiewa mnie lodowaty styczniowy wiatr.

– Jakim prawem po raz kolejny nachodzisz mnie w moim wła-snym domu? – Podchodzę do furtki.

Głowa blondyna opada delikatnie na lewo, kiedy mi się przy-gląda.

– Dzień dobry, Josephine. – Nie wydaje się poruszony ani moją postawą, ani słowami.

– Powiedziałam już wczoraj, że nie chcę mieć z waszą rodziną nic wspólnego. Mam użyć siły, żeby dotarło?

– Odeszłaś w pół słowa.

Unoszę teatralnie brwi.

– No właśnie. Czy to nie było wymowne?

Wargi Jamesa Vanderbilta zaciskają się w wąską linię. Mężczyzna wpatruje się we mnie w milczeniu zdecydowanie zbyt długo. Nie zamierzam tu marznąć dla jakiegoś chłoptasia w derbach i czekać, aż łaskawie się odezwie. Właśnie dlatego odwracam się na pięcie.

– Wiem, jak udowodnić niewinność Archibalda. – Słyszę nagle za plecami.

Dębieję.

Spoglądam na niego przez ramię, próbuję ocenić, czy to nie blef, ale nie dostrzegam nic, co mogłoby na to wskazywać. Jego twarz jest tak samo obojętna jak w chwili, gdy zobaczyłam go przez okno. Może to część osobowości tego faceta. Wczoraj też niewiele dało się z niego wyczytać.

Wracam do furtki.

– Niby jak? – Mrużę powieki.

Vanderbilt patrzy na coś ponad moim ramieniem. Podążam za jego wzrokiem. Pod zadaszeniem przy drzwiach stoi Aaron. Obserwuje nas z tak dobrze znanym mi błyskiem ostrzeżenia w oczach.

– Wszystko w porządku, Jo? – Po tonie jego głosu poznaję, że tylko czeka na znak, by przegonić intruza.

– Tak. Idź do domu. Zaraz przyjdę.

Moje zapewnienie go nie przekonuje. Brat zeskakuje z ganku i zaczyna zbierać wyrzucone przeze mnie ubrania, ale cały czas spogląda na mężczyznę.

– Więc? – ponagliłam Vanderbilta.

Dopiero po kilkunastu, może kilkudziesięciu sekundach, kiedy słyszę dźwięk zamykanych drzwi frontowych, facet wraca spojrzeniem do mnie.

– Jak mówiłem, możliwe, że wiem, jak udowodnić niewinność Archibalda.

– Teraz to już tylko możliwość? Jeszcze minutę temu byłeś tego pewien. Zdecyduj się, człowieku.

Vanderbilt sztywno przechodzi przez ulicę i staje naprzeciwko mnie. Chłód bijący z jego spojrzenia i wyczuwalne poczucie wyższości są paliwem dla gniewu, który noszę w sobie od dnia, kiedy policjanci zjawili się w naszym rodzinnym domu, skuli Archiego kajdankami i zaciągnęli go do radiowozu jak jakiegoś kryminalistę.

To właśnie wtedy zaczęliśmy tracić wszystko, na co latami ciężko pracowaliśmy.

– Najdoskonalszy plan może runąć, kiedy jego los spoczywa w rękach wielu osób.

– A teraz co? W Szekspira się bawisz? – Przekładam kij z jednej dłoni do drugiej. – Słuchaj, nie mam czasu na głupoty. Streszczaj się.

Mężczyzna nawet na sekundę nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Nie znalazłem dotąd niepodważalnych dowodów, które potwierdziłyby niewinność twojego brata, ale wiem, co mogłoby zmotywować pewną osobę do pociągnięcia za odpowiednie sznurki, by tego dokonać. – Wsuwa ręce do kieszeni płaszcza. – Chciałbym zaproponować ci układ. Opłaci się zarówno mnie, jak i...

– Do brzegu.

– Zostaniesz moją partnerką. Tymczasowo.

Zapada głucha cisza.

Mrugam pośpiesznie.

I parskam śmiechem.

– Jaja sobie robisz, prawda?

Vanderbilt nie wydaje się rozbawiony. Raczej znudzony. Albo zirytowany. Nie jestem pewna.

Odczekuję chwilę, a gdy dociera do mnie, że nie zamierza odwołać tych niedorzecznych słów, daję krok w jego stronę i zadzieram wojowniczo podbródek.

– Za kogo ty się uważasz, co? Myślisz, że możesz nachodzić mnie w moim własnym domu, dawać niemoralne, a przede wszystkim absurdałne propozycje, bo... No właśnie, dlaczego?

Gdy wczorajszego wieczora spotkałam Jamesa Vanderbilta po drodze z pracy, początkowo go nie rozpoznałam, ale kiedy się przedstawił, szybko zrozumiałam, z kim mam do czynienia. Jego nazwisko było dla mnie wystarczającym argumentem, żeby z nim nie rozmawiać. Nie chcę mieć z tymi ludźmi nic wspólnego.

– Zrobiłem to, co nakazałaś: streściłem i dobiłem do brzegu. Gdybyś nie zachowywała się tak prymitywnie i pozwoliła mi na spokojnie wszystko wyjaśnić, bez wątpienia lepiej byśmy się zrozumieli i obyłoby się bez twoich szyderstw.

– Prymitywnie? – Prycham. – Ja zachowuję się prymitywnie? – akcentuję pierwsze słowo.

Przejeżdżający samochód i szum wiatru to jedyne, co słyszę. Twarz mężczyzny nie wyraża w tym momencie absolutnie nic. Żadnej emocji.

I z jakiegoś powodu potęguje to tylko mój gniew.

– Posłuchaj mnie, palancie. Po dziurki w nosie mam Vanderbiltów. Już raz mój brat wam zaufał i teraz siedzi za coś, czego nie zrobił. – Daję krok w tył. – Jeśli znów się do mnie zbliżysz, wezwę policję.

Odwracam się na pięcie i idę do domu. Zamykam drzwi, ale nie odchodzę. Zerkam przez wizjer. Vanderbilt wciąż stoi tam, gdzie go zostawiłam, jakby czekał na mój powrót. Nagle sięga do kieszeni, wyjmuję jakąś kartkę i wrzuca ją do zawieszanej na płocie skrzynki na listy. Nie mija nawet dziesięć sekund, gdy wsiada do auta i odjeżdża.

Opieram się czołem o skrzydło, wypuszczając nieświadomie wstrzymywane powietrze.

– Wszystko okej, Jo?

Wzdrygam się na dźwięk głosu Aarona. Brat stoi w salonie, wciąż bojowo nastawiony, ale chyba też lekko zagubiony.

– Co to był za typ? – pyta.

W głowie mam mętlik. Odnoszę wrażenie, że dopiero teraz docierają do mnie słowa tego faceta.

– Zaraz wrócę – rzucam tylko. Odkładam kij bejsbolowy i ponownie wychodzę na zewnątrz.

Podchodzę do furtki, zerkam, czy na końcu ulicy nie stoi czarny Range Rover, po czym otwieram zardzewiałą skrzynkę i wyjmuję z niej to, co zostawił tamten typ.

A zostawił kopertę.

Rozrywam ją bez zastanowienia.

W środku znajduję zgiętą wpół kartkę. Nie ma na niej wiele. Tylko dwa zdania nakreślone jednym z piękniejszych charakterów pisma, jakie kiedykolwiek widziałam.

*Jeślibyś jednak zechciała wysłuchać tego, co mam do powiedzenia,
jestem do Twojej dyspozycji do jutrzejszego wieczora.
Oto mój numer telefonu.*

Wpatruję się w rząd zapisanych cyfr tak długo, że te zaczynają się zlewać. W końcu gniotę kartkę w pięści i zastygam w bezruchu.

Kłamał? Dlaczego miałby? Co by dzięki temu zyskał? Przecież nawet się nie znamy. Ale w takim razie czemu chce pomóc?

– Przysięgam, że jeśli nie powiesz mi, co się dzieje, wyjdę z siebie.

Na twarzy stojącego w drzwiach Aarona widać już tylko czysty niepokój.

– To... – Patrzę na kulkę w swojej dłoni. – To był James Vanderbilt.

– Co?

Chowam papier do kieszeni i wracam do domu.

– Czego ten palant od ciebie chciał? – docieka brat, gdy go mijam.

Zna sposób, by udowodnić niewinność Archiego. Zna sposób, by udowodnić niewinność Archiego. Zna sposób...

– Josephine, do cholery!

– Chce pomóc wyciągnąć Archiego z więzienia – mamrocze. – Chyba.

Zapada głucha cisza. Podnoszę wzrok, by się upewnić, czy mój brat wciąż tu jest. Po jego minie widzę, że takiej rewelacji się nie spodziewał.

– C-co? Dlaczego? Skąd on w ogóle wie... Jak... Czy nie... Co, kurwa?

– Ja też średnio rozumiem. – Rozkładałam pomiętą kartkę i jeszcze raz czytam zapisane na niej słowa. – Podobno wie, jak zmotywować kogoś do odkręcenia tego wszystkiego.

– No dobra... Dobra, okej... – Oddycha głęboko. – Okej, ale czemu chce to zrobić?

Wzruszam ramionami.

– Bo ja wiem...

Nie patrzę na brata, ale czuję, że mi się przygląda. Jego spojrzenie przeszywa mnie na wskroś.

– Ile to kosztuje? – pyta ostrożnie. – Nie wierzę, że typ zjawił się tu jak cholerna wróżka, by spełnić nasze życzenia, i nie chce nic w zamian.

Cena podana przez Vanderbilta wydaje się tak absurdalna, a zarazem śmieszna, że nie umiem wziąć jej na poważnie. Choć... może jest zupełnie inna, ale nie dowiedziałam się tego, bo go przegoniłam.

– Nie wiem – mówię. – Gadał jakieś bzdury, że musiałabym zostać jego... tymczasową partnerką czy coś takiego. – Składam papier i wsuwam go do kieszeni dżinsów. – Nieważne. Nie zgodzę się.

– Dlaczego? – W głosie Aarona brzmi wyrzut.

– Ty tak poważnie?

Brat patrzy na mnie, jakby co najmniej wyrosła mi druga głowa.

– Gość proponuje ci, że pomoże wyciągnąć Archiego z paki, a ty chcesz tę pomoc odrzucić?

– Naprawdę jesteś tak głupi czy tylko udajesz?

– O co ci teraz chodzi?

– Ten typ pojawił się znikąd! I co? I nagle chce się bawić w zbawcę? Dlaczego? Dlaczego jeden z Vanderbiltów, tych samych, przez których znaleźliśmy się w takim położeniu, miałby cokolwiek dla nas robić? Zastanów się, Aaron.

Nie umiem stwierdzić, czy w spojrzeniu brata więcej jest złości, czy konsternacji.

– Co jest na tej kartce? – Słyszę, gdy podchodzę do aneksu kuchennego.

– Jego numer telefonu. Na wypadek gdybym zmieniła zdanie.

Wyjmuję produkty z siatek. Próbuję poświęcić temu zajęciu całą uwagę, by nie roztrząsać tego, co wydarzyło się zaledwie kilka minut temu. Udaje się, ale dopiero, kiedy Aaron włącza radio w salonie i przekręca regulator tak, że przestaję słyszeć własne myśli.

Ogarnięcie parteru zajmuje nam niewiele więcej niż pół godziny. Gdy wchodzimy na piętro, okazuje się, że zostało już względnie posprzątane. Pozostało mi tylko wstawić pranie i doprowadzić do porządku swoją sypialnię. Zanim wracam na dół, postanawiam jeszcze zajrzeć do Charliego. Dziś praktycznie się nie widzieliśmy.

– Odrobiłeś... – Zatrzymuję się w pół kroku na widok siedzącego przed komputerem chłopaka. – Ty tak poważnie?

– W sensie? – Nie odrywa wzroku od ekranu.

– Aaron mówił, że wczoraj grałeś cały dzień.

– No i?

Zaciskam wargi, szukając w sobie resztek cierpliwości. Muszę nad sobą panować, żeby ten cholerny sprzęt nie zaczął latać, tak jak niedawno spodnie Aarona.

– Nie uważasz, że przeginasz?

– Nie, a ty?

Liczę w głowie od dziesięciu w dół.

To się nie dzieje.

– Odrobiłeś lekcje?

– Prawie.

– Co to znaczy: prawie?

– Został mi tylko esej. Zaraz to ogarnę. Wyluzuj – burczy, klikając mocno w klawiaturę i myszkę. – Możesz iść? Rozpraszasz mnie, a mam ważną rozgrywkę.

– Za godzinę przychodzę sprawdzić, czy napisałeś esej. Jeśli nie, możesz się pożegnać z komputerem na dwa tygodnie.

Nie czekam na jego sprzeciw, bo wtedy faktycznie bym wybuchła, a tego nie chcę. Zamykam zamasyście drzwi i schodzę na parter. W salonie zastaję Aarona, ogląda właśnie jakiś film, zajądając się popcornem.

– Jedliście coś porządnego? – Otwieram lodówkę.

– Odgrzaliśmy sobie pizzę – mówi z pełnymi ustami.

– Który to już raz w tym tygodniu?

Chłopak milczy przez moment.

– Siódmy?

– Świetnie – burczę, bardziej do siebie.

Połączenie etatu w siłowni z dorywczą pracą w pralni chemicznej oraz barze okazało się nie lada wyzwaniem. Wychodzę o piątej rano, a wracam przed dziewiątą wieczorem, jeśli po drodze wstępuję jeszcze do marketu. Nie mam czasu na gotowanie, sprząatanie, o życiu prywatnym nawet nie wspomnę. Odwiedziny u Mirosława,

u którego jeszcze nie tak dawno bywałam codziennie, uznaję za niezły wyczyn. Mam nadzieję, że obecny chaos wynika tylko z braku rutyny i że wkrótce odnajdę się w nowej rzeczywistości.

Przygotowuję sobie kilka kanapek i herbatę i dołączam do Aarona, ale choć bardzo się staram, nie umiem skupić się na filmie. Moje myśli raz po raz uciekają w kierunku kartki w kieszeni.

Albo raczej tego, kto ją napisał.

SPIS TREŚCI

— 7 —

Prolog

— 11 —

Rozdział 1. Niespodziewana wizyta

— 28 —

Rozdział 2. Dankworth

— 49 —

Rozdział 3. Kwestia statusu

— 66 —

Rozdział 4. Waluta czasu

— 80 —

Rozdział 5. W świecie kobiet

— 98 —

Rozdział 6. Maski

— 116 —

Rozdział 7. Chłopak z baru

— 137 —

Rozdział 8. Osiem lat milczenia

— 150 —

Rozdział 9. Przegrana walka

— 174 —

Rozdział 10. Sztuka udawania

— 200 —

Rozdział 11. Dumni i uparci

— 217 —

Rozdział 12. Ukłucie sumienia

— 231 —

Rozdział 13. Dotyk

— 255 —

Rozdział 14. Cicha potrzeba miłości

— 282 —

Rozdział 15. Niezrozumiałe uczucie pustki

— 300 —

Rozdział 16. Strach

— 313 —

Rozdział 17. Cena milczenia

— 341 —

Rozdział 18. Kontrola

— 366 —

Rozdział 19. Wyznaczona droga

— 391 —

Rozdział 20. Trzy pytania

— 407 —

Rozdział 21. Chaos

— 416 —

Epilog

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

